



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

### SKARB ŻYWOTA.

Duszo moja! przed tobą jest kraina głucha,  
Milcząca, zasłonięta przed wichry wszelkiemi;  
Nigdy tu nawałnicy łoskot nie wybucha,  
Nigdy trąba powietrzna nie chwyta od ziemi.  
Każdy ostry kształt szczytu tuman mgły opływa  
I czyni go zjawiskiem jak widma snów białem;  
Idąc tędy, wędrowiec cichy nie spoczywa,  
Bo go słońce ognistym nie piekło upałem.  
Jest to dolina rzeki Lety—tutaj duchy  
Idą czerpać niepamięć w głębiach chłodnej fali.  
Kto ma Prometeusza na sobie łańcuchy,  
Kogo szata tuniki Nessusowej pali,  
Jeżeli chce lekkości, jeżeli chce ochłody,  
Niech zstępuje tym brzegiem, co się zwolna kloni:  
Niechaj usta przyłoży do tej cichej wody,  
Niech się zanurzy w kryształ tej spokojnej toni.  
Znajdzie tu, czego pragnął: weźmie—zapomnienie!  
Przeszłość się za nim cicho zsunie w cień mogiły;  
Dawnych uczuć i myśli jego dawnych cienie  
Jeszcze będą istnieniem sennem moment żyły,  
A potem nic już... wszystko przepada i ginie,  
Jak wiatrami targana nic pajęczej przędzy.  
Wtedy duch w Elizejskich Pól jasnej krainie  
Nie znajdzie żadnej ziemskiej boleści i nędzy...

Cóż to, o duszo moja! ty nie chcesz? Uparta,  
Inaczej pragniesz stanąć u wieczności proga....  
Owijasz się w przeszłości całun i podarta  
Zblakła ta szata ma cię stroić wobec Bogal

Lecz ja wiem: ty żałujesz! ty nawet do nieba  
Chcesz zabrać wszystkie smutki i tęsknoty twoje,  
Wszystkich zawodów twoich cierpkości ci trzeba...  
Na chustę Weroniki zbierasz krwawe znoje,  
Krużę łez, po brzeg pełną, unosisz ze sobą,  
Dolałaś ją goryczą hyzopu i myrry...  
Nie żebyś przed anioły szła z twoją żalobą,  
Jak płaczka pogrzebowa wlokła czarne kiry.  
Ani też chcesz, przed Bogiem Twoim rozżalona,  
Mieć świadki, jak cudowne Ibisa żurawie;  
Ręka twoja namiętnie ściska się u łona,  
Bo masz perłę miłości w cierpienia oprawie!

M. I.

### PRZEKŁĘTY DWOREK

NOWEJ LA

napisał

Bolesławicz.

(Dalszy ciąg).

Śluchający ciekawie się wpatrywali w nieznanego człowieka. Straszna to była historia, którą opowiedział.

On zapewne nie widział patrzących na niego oczu; on, znalazłszy się w tych miejscach, spotkał się z widmem gryzących wspomnień, potrzebował mówić, i może byłby mówił do drzew, do krzaków, do samego siebie, byłby opowiadał, jak oto teraz, gdy po długich latach więzienia otrzy-

mał wolność, wraca tu od czasu do czasu i zamiast szukać miejsc nieszczęsnych potrzebuje się tu znaleźć niekiedy i poić się trucizną przypomnienia. Budzący w ludziach zgrozę, nie ma też na świecie innego już życia, nie ma w sobie spokoju, aby wytrzymać na jednym miejscu: więc tuła się, błąka po świecie, aby tu wracać zawsze i pocieszać się myślą, że miejsce to jest przeklęte, że muszą tu zawsze rozgrywać się dramata okrutne. Tak tu było od lat dawnych i tak tu być musi zawsze: los straszego przeznaczenia spuszcza tu zawsze na ludzi—miłość okrutna...

Mimowoli oczy Walentyny spotkały się z tym wzrokiem Kazimierza. Nie było w tych oczach trwogi, przestachu, ale jakiś ogień namiętny. Spotkały się jego dwa płomienie i od tej chwili zdawało się, że jakaś moc niezwyciężona zbliżyła ich serca do siebie.

Zato hrabia zmarszczył się surowo na biednego opowiadacza strasznej historii. Chciał potem zaśmiać się szydlerczo z wiary w baśnie; mimowoli zwrócił wzrok na Walentynę i zdawał się badać ją nim: a ona zmieszana pochyliła głowę, aby ukryć to wzruszenie swoje. Trwało to sekundę jedną; ale było dość tej sekundy, aby niepokój zakradł się do serca, aby podejrzenie wcisnęło się w umysł.

A panowało przytem milczenie, wytwarzając położenie dziwnie przykre; lecz Walentyna już ochłodziła z pierwszego wrażenia i odzyskała zwykły takt spokojny:

— Wdzięczni panu jesteśmy za opowiedzianą historią—rzekła do nieznanego.—Mnie ten dom nie był nigdy szczególnie miłym i teraz gdy wiem, że był świadkiem rzeczy tak smutnych, że cięży na nim wspomnienie tak bolesne, będę chciała, abyśmy opuścili go jak najprędzej.

— Dobrze państwo uczynicie—rzekł nieznanomy—uciekając z miejsc przeklętych, jaknajdalej. Hrabia, choć sam może pragnąłby był opuścić w tej chwili dom przeklęty, jednak uznał za rzecz



stosowną sprzeciwić się Walentynie. Duma mężczyzny, duma męża, wymagała tego po nim.

— Chyba żartujesz! — rzekł do żony — rzucić mieszkanie wygodne dla przypowiatki, byłoby śmiesznością; co zaś do wspomnień smutnych, to gdzie na ziemi ich niema? Każdy dom ma je w dziejach swoich i uniknąć ich niepodobna.

— Nie sądzę też, abyś była zbyt nerwową i zostawała długo pod panowaniem wrazenia, które cię rozstroiło chwilowo. Prawda?

Pytał się, patrząc na żonę z uprzejmym uśmiechem, lecz zaraz potem dodał z powagą: — Przytem my możemy mieszkać spokojnie w miejscach choćby rzeczywiście przeklętych, bo żadne z nas, ani ja, ani ty, nie zeszłoby nigdy na dramat taki....

Walentyne oblały rumienie. — Och! rzekła żywo — nie o tem myślałam, ale już trudno-by mi było czuć się tu wesolą i swobodną. Każde spojrzenie na ten klomb stawiałoby mi przed oczyma krwawy obraz i wkrótce zniechęciłabym te miejsca.

— Jeżeli tak, to wyjeżdżajmy — rzekł hrabia. — Wszak wiesz, że mnie tam tylko dobrze, gdzie tobie dobrze być może.

Mówił to napozór spokojnie i tylko ze zwykłą, zawsze okazywaną żonie, czułością łagodną; ale znać było po pewnym błysku oczów, że i on pragnąłby wyjazdu, że był rad z nalegania żony.

Kazimierz doznawał przez ten czas uczuć trudnych do opisanja; najpierw ogarnęło i jego uczucie trwogi; lecz teraz, gdy spostrzegł, że może nagle utracić Walentyne, żaloszny niepokój zapanował nad wszystkim i gotów był kląć człowieka, którego zjawienie się rozburzało mu tak niespodziewanie raj jego marzeń.

A tymczasem Walentyna się podniosła. — Robi się chłodno — rzekła. Był to jakgdyby znak, że goście powinni ją pożegnać, bo okazała chęć powrotu do domu, nie prosząc ich tam jednak ze sobą.

Kazimierz czuł się jakgdyby pijanym. Czyżby to miało być pożegnanie ostatnie — pożegnanie bez żadnego innego słowa? A cóż było, to, co przed chwilą zapalało w jej oku? Cóż było to, co usłyszał w pieśni, którą dla niego zaśpiewała?

Hrabia, przy pożegnaniu, nie zapraszał go jak zwykle: odszedł więc bez nadziei powrotu.

Za nim postępował nieznany człowiek, który to wszystko sprawił. Gdy uszli w milczeniu kroków kilka, przysunął się bliżej do Kazimierza i rzekł:

— Może towarzystwo tej pięknej pani jest panu bardzo miłe i zlorzeczysz mi w duszy za to, że wpadł między was z niewczesną opowieścią; ale przyjdzie czas, w którym będziesz mnie błogosławił. Jeżeli nie chcesz pan wierzyć w przekleństwo, to wierz w zdradliwe sidła takich cichych ustroni. Życie powinno być życiem, a nie marzeniem. Pan tego jeszcze nie wiesz, ale ja wiem. Miejsca takie są przeklęte, powtarzam, i dobrze jest, że uciekniesz ztąd.

Mówił to głosem łagodnym i życzliwym, a oddalił się natychmiast.

Dzień ten był dla Kazimierza dniem przywracającym mu równowagę. Zrozumiał stan swego serca, położenie swoje, i ujrzał się nad przepaścią.

Czegóż mógł się spodziewać? — za czem gonil? Czyliż mógł naprawdę przypuścić, że uzyska miłość Walentyny? a uzyskawszy ją, cóżby począł? Coby mu to przyniosło?

Czy szczęście?

Nie....

Lepiej więc cofnąć się i wyjść z czarodziejskiej matni z sercem czystym, lepiej przeboleć utratę pięknego snu, niż utracić na zawsze spokojność, niż wydrzeć ją drugiemu sercu — kobiecie!

Do tego dnia Kazimierz nie zdawał sobie sprawy z codziennych uczuć, lecz teraz, gdy bolesne doznana na myśl oddalenia się Walentyny dała mu poznać niebezpieczeństwo, — postanowił jak człowiek honoru ocalić od niego siebie i ją.

Miał przed sobą dwie drogi: jedna prowadziła do ciszy i spokoju, druga do wzruszeń i cierpienia.

Wybrał pierwszą z nich i z tem silnem postanowieniem wszedł do domu p. Fortunata.

— Ach! — westchnął przecież mimowoli, — czemuż nie Walentyne tu powitam!

Wszedłszy do przedpokoju, usłyszał wesoly śpiew barytonowy, który się rozlegał w salonie p. Fortunata.

Ktoś akkompaniował na fortepianie — zapewne Marynia.

Chciał się przekonać, lecz nie miał chęci, ani do słuchania śpiewu, ani do rozmowy; cofnął się i poszedł do swego pokoju.

Musiał pierwiej uporządkować myśli i uspokoić się.

W salonie, młody gość śpiewał długo, rozmawiał wesolo, a ponieważ był wykształconym człowiekiem, umiał więc zająć sobą i rozmową, swoją.

Był to młodzieniec rzutki, energiczny. Śpiewał wcale nie źle, grał na fortepianie taksamo, deklamował wyjątki z Mickiewicza i Słowackiego. W towarzystwie starszych osób umiał być poważnym, w gronie młodych — wesolym; słowem, każdy go chętnie witał i chętnie z nim przebywał.

Nazywał się Władysław Rochowski, zamieszkiwał odniedawna z rodzicami w domu p. Fortunata, a że dość często widywał Marynię przez okno, postanowił sobie poznać ją bliżej.

W tym celu złożył dziś gospodarzowi pierwszą wizytę, która przy muzyce przeciągnęła się do późnej godziny.

Nazajutrz, p. Fortunat, po dłuższej rozmowie z Kazimierzem, siedział uśmiechnięty w wielkim fotelu, a przed nim stała wnuczka, z kwiatkiem w połowie oskubanym, który zapewne służył jej jej za przedmiot czynienia wróżb.

— Maryniu — rzekł p. Fortunat — powiedz mi przedewszystkiem: co przytem mówi twoje serduszko?

Dziewczę zaśmiało się.

— Co mówi serduszko? — Nic! — Nie wiem czy serze umie mówić?

— Wiesz ty, filutko, lepiej odemnie — odparł stary — ale nie o to idzie w tej chwili.

— A o co, dziaduniu?

— Potrzebuję, abyś była szczerą, Maryniu. Przyrzecz mi więc, że odpowiesz na wszystkie zapytania z całą otwartością. — Przyrzekasz?

— Przyrzekam.

Fortunat wziął ją za rękę i patrzył jej w oczy.

— Kochasz Kazimierza?

Marynia, chociaż przeczuwała o co rzecz idzie, zarumieniła się i spuściła oczy. Ale po chwili podniosła głowę i rzekła, rzucając się na szyję dziadka.

— Kocham, drogi dziaduniu! Kocham!

— To jest wszystko, o co cię miałem pytać.

Nastąpiły ściskania, całowania — a gdy wkrótce potem nadszedł Kazimierz, starzec uroczyście pobłogosławił młodej parze.

## V.

Wiemy wszyscy aż nadto dobrze, że łatwiej coś zamierzyć, niż wykonać. Bolesne to doświadczenie dotknęło i Kazimierza, bo chociaż postanowił sobie mocno zapomnieć o Walentynie, chociaż dla utrwalenia się w tem przedsięwzięciu przyspieszył związek z Marynią, to jednak myślą i duszą był wiecznie przy tamtej.

Im więcej starał się oddalać od siebie jej obraz, tem natarczywiej cisnął mu się on przed umysł. Bo też to była kobieta, której nie łatwo zapomnieć, i na kogo promieniste jej oczy spojrzały raz miłośnie, ten musiał uleść, a gdy uległ, był już ich niewolnikiem nazawsze.

Walka miłości z postanowieniem, z obowiązkiem, przyniałała Kazimierza ciężarem okrutnym; dobywał wszystkich sił, lecz te odmawiały mu posłuszeństwa.

Nie umiał znaleźć wyjścia z tego labiryntu, bo na samą myśl utraty Walentyny rozpacz go ogarniała; przemożna władza wiodła jego myśli do miejsc — przeklętych. A ona, kobieta, która budziła takie uczucia w sercu mężkiem, ona — co czuła tymczasem? Czy też tęskniła, czy pragnęła widoku Kazimierza, przyzywała go w marzeniach, widywała w snach niespokojnych?

W niej panowała głównie ciekawość prawie gorączkowa: „Co to kłątwa, której nie można się oprzeć; Siła czarnoksiężka, przed którą człowiek musiałby uleść? Czy to podobna, aby tak było? Myślała

myślała o tem bezustannie i pragnęła coraz-to silniej spotkać się z Kazimierzem — raz tylko — aby mu powiedzieć.... Ale co? Nad tem się nie zastanawiała — chciała go tylko zobaczyć, może dlatego, aby się upewnić, że nie ma nad nią żadnej mocy wyroczonej, że ona zawsze — zawsze może pozostać panią siebie.

Hrabia Leon także nie był wolnym od dziwacznych myśli; często wpatrywał się w żonę, aby odgadnąć: czem dusza jej zajęta była? Lecz majestatyczna powaga pięknej kobiety, spojrzenie jasne i spokojne, a szczególnie dumne, uspakajały go na chwilę.

Jedna tylko okoliczność dręczyła go w skrytości. Walentyna nie śpieszyła się tak z wyjazdem, jakby pragnął i jak ona sama zdawała się pragnąć z początku. Mógłby jej to przypomnieć, ale nie chciał się okazać śmieszny. Uważał to sobie za pewien rodzaj poniżenia, za brak zaufania względem żony. Napozór wydawał się też spokojnym, lecz serce przeczyło temu. Wychodził z domu i wracał, szczególnie już mrokiem, gdy cień zalegał ogród; on tamtędy obierał drogę powrotu, wkradał się tam furtką tylną i słuchał, słuchał każdego szmeru: czy to nie szelest kroków dwojga.

Tymczasem drugi tydzień mijał, a Kazimierz nie ukazał się we dworku. Przemocą chciał przezwyciężyć się, i przyznać potrzeba, że mu się to udawało.

Marynia — dziewczę naiwne — szczebiotaniem swoim rozpraszała jego zadumę. Każde zamyslenie i westchnienie tłómaczyła sobie tem, że to miłość do niej takie niepokoje budzi w sercu zakochanego. Więc czując się winną, pragnęła pozyskać sobie winy przebaczenie, łagodnie leczyć zadane rany i nagrodzić wiernego rycerza słodkiem, wdzięcznym spojrzeniem i piosenką, muzyką — czem mogła, co miała do rozporządzenia — biedaczka naiwna.

Ale Kazimierz ciągle był wdychający, milczący i smutny. Źle sypiał w nocy, w milczeniu i samotności wzmagała się tęsknota i ciągnęła go, ciągnęła, wołała do ukochanej.

A tu nadeszły właśnie nocy najzdradliwsze dla tak usposobionych ludzi — nocy księżycowe. Świat się zdawał takim cudownym w potokach łuny srebrnej, jakgdyby to był raj, i raz gdy we dworku wszystko ucichło, gdy było już po północy, dobrze już po północy, Walentyna, która jeszcze spać nie poszła, przyciemniła lampę, aby lepiej podziwiać piękno przyrody w tem oświetleniu niepewnym. Było jej bardzo smutno na sercu — westchnienia ulatywały z piersi, niby posłannicy, gdzieś daleko wyprawiani, po trochę pociechy; księżyc w całej okazałości jaśniał na niebie, patrząc poważnie na ten padół goryczy i płaczu.

Ludzie ustąpili miejsca naturze — drzewa, wody, kwiaty, ziola zaczęły wieszć rozmowy między sobą: zaczęły szeptać, zaczęły śpiewać pieśń o miłości.

Czyliż jest człowiek, któryby się cofnął w tył, gdy zachwyci uchem tę pieśń, usłyszy muzykę, która jej wtóruje? O! nie.... będzie słuchać, musi słuchać, musi chwycić wszystkie dźwięki, aż zacznie zazdrościć, tęsknić do harmonii, do szczęścia, które tu płynie pełną a spokojną falą.

Walentyna otworzyła okno i z całej piersi odechnęła wonnem powietrzem. Lekki wietrzyk, muskający kwiaty, poruszył wijące się pierścienie włosów i sprawiał w nich drżenie, jakgdyby oddech jakiś gorący przewiewał na pochyloną głowę.

Nagle krzak róży zaszeleścił głośniejsz — zza krzaka wypłynął cień postaci ludzkiej.

Walentyna spojrzała i ze zdziwieniem poznała Kazimierza, który szybko zbliżył się pod okno.

Dwa rzędy kwiatów tylko ich oddzielały od siebie.

— Kto tu? — spytała, niedowierzając sobie.

— To ja — odpowiedział Kazimierz — a głos ledwo mu wydobywał się z piersi. — Wracając ze spaceru, zobczyłem tutaj, aby popatrzyć na ogródek przy blasku księżycu. Pani, jak widzę, tą samą myślą wiedziona, rozpatrujesz się w tem uroczem pięknie.

Poważna twarz kobiety rozjaśniła się szybko. „On przychodził przypadkiem“.

— Lubię noc księżycową — odrzekła — lubię marzyć....



Ale... samotnie—dodała przecież.

—Nie mam zamiaru przeszkadzać pani, dość jestem nagrodzony tą miłą niespodzianką, bo nie śmiałem nawet pomyśleć, abym miał ujrzeć panią w tej chwili.

— Pan chodził daleko?

— Tak... wyszedłem z domu smutny i tęskny i szedłem tak, szedłem przed siebie....

Ale wrócić uszczęśliwiony i wesoły.

— Więc księżyc ma taką moc uszczęśliwiania pana?

(Dalszy ciąg nastąpi)

## Korrespondencya zagraniczna.

Peszt i Wiedeń w Listopadzie 1881 r.

Dzisiejszy Peszt.—Węgierska Wystawa Przemysłu Kobiecego.—Sezon w Wiedniu.—Sara Bernhardt a Modrzejowska.—Gallmayer i Sara.—Nowości sceniczne.—Laube w przekładach francuzkich.—Nowości literackie.—Arcyksiężęta jako autorowie.—X. Nieder o *Królu Sobieskim*.—Wykłady: Reman, Stein (o Kobietach).—Wenera *Kongres berliński*.—Wereszczagina *Wojna*—Canon o tym rodzaju i wogóle o zadaniu sztuki.

(?) Odkąd Austria nazywa się państwem austro-węgierskim, dwie ma stolice, i to nie w tem znaczeniu jak Petersburg i Moskwa, albo Berlin i Frankfurt, ale dwie stolice równorzędne, równie ważne, albo raczej współzawodniczące z sobą w znaczeniu i powadze: Wiedeń i Peszt, czy Buda-Peszt. Prawnie są one sobie równe, ale w rzeczywistości daleko jeszcze do tego. Oba miasta stare i sławne, dwór cały naprzemiany w nich mieszka; jednak Wiedeń, lubo się odmładza i stroi, jest całym; Peszt zaś jest dopiero częścią samego siebie. Z dawnych czasów pozostał Peszt miastem dosyć rozległym, w slicznym położeniu, ale brudnym, biednym, nieregularnym, z piętnem jakiejś niemocy i niepełności. Dopiero, gdy za sprawą Deaka ostateczna ugoda Węgrów z domem panującym i Austrią stanęła, od 1867 roku, datuje się określone stanowisko Królestwa Węgierskiego, więc i nowa era jego stolicy. Od owego czasu Peszt buduje się, a ma gdzie. Rozciąga się, nie jak Wiedeń nad kanałem, ale po obu brzegach głównego koryta Dunaju. Po lewym, niskim, płaskim brzegu Peszt, po prawym górzystym — Buda. W środku tego „dwójmiasta“ są poważne, zabudowane góry i wielka rzeka: wspaniała panorama, życie i ruch, którego areną i sprężyną jest droga wodna, Dunaj, jedna z najważniejszych arteryj handlu całego świata. Te warunki,—to drożdże, na których miasto rośnie; stolica wymaga gmachów, muzeów, parlamentu, teatrów, miejsc zabawy: więc powstają one z granitu, który Dunajem przychodzi ze Szwecyi, ze Szlązka, z Włoch, chociaż go mają Węgrzy w domu, w Tatrach, niemniej jak i bardzo piękny seledynowy z fiołkowemi żyłami piaskowic. W ostatnich czasach dopiero zaczęła się eksploatacja granitu tatrzańskiego. Wszystkie gmachy ważniejsze mają granitowe facyaty; stają one na lądzie i na wodzie, na wyspach dunajowych, rozbrzmiewających rozkosznie muzyką cygańską.

Takim jest Peszt we wzrastającej świetności swej. Lecz obok gmachów ma pełno jeszcze domków, zapadających w ziemię, i pustych przestrzeni. Lat wielu jeszcze potrzeba, zanim się ramy obrazu wypełnią. Dunaj wymaga dla bezpieczeństwa i handlu niemniej ogromnych prac. Całe koryto po obu stronach ujmowane jest teraz w granitowe boki: przystanie, składy, nad niemi wspaniałe corso. Wodny ten gościniec przypomina, zwłaszcza w nocy, przy migotaniu świateł Genewę — a komunikacją obu brzegów utrzymują wspaniałe mosty i przeważnie statki parowe, bez przerwy krążące. Od brzegu prowadzi kolej, idąca wprost na górę, stromo, tak, że wagon zjeżdżający ciężarem swoim wciąga wagon wjeżdżający na górę.

Pierwsza rzecz, która w Peszcie uderza, to woda i granit. Granit *konsumuje się* tu jak chleb powszedni, a woda jest nawet gorąca,—*termy* u podnóża Budy. Woda daje ryby, a ziemia paprykę i wino. Potrzebuje ich ognisty temperament ludu, a one znowu na temperament oddziałują. O winie zaś śpiewał już grecki Bakhylides:

Słodki przymus wlatuje z kielicha,  
Umysł łagodzi,  
Pragnieniem uczuć pierś wzdycha,  
Bo z winem miłość pospołu chodzi.

Tak też i Węgrzom śpiewał Petoefi:

Chociaż nas Pan Bóg tak nawiedza złem,  
Jest przecież także i cieszyć się czem:  
Niema jak w Węgrzech—toć to nie nowina—  
Piękniejszych kobiet i lepszego wina.

Takie motywa i usposobienie potrzebują muzyki i tańca; więc też śpiewał:

Hola, cyganie! cóżto skrzypki śpią?  
Graj mi, niechaj się struny serca rwą,  
Aże w rozpaczy ja smutkowi memu  
Do stóp się zwalę; graj mi ponaszemu.

Oto i czardasz; oto i cała czarnoksiężka latornia życia w węgierskiej stolicy. Trzeba tylko dzisiaj w miejsce smutku postawić dumę i ambicyą i marzenie o wielkiej przyszłości politycznej. Kroaci ocaleli już, ale Słowacy giną pod rydwanem tej przyszłości madziarskiej. Jeszcze jeden szczegół: Akademia Umiejętności w Peszcie ma stałego uposażenia 110,000 złr.—krakowska tylko 40,000.

Ten wstęp niechaj posłuży jako dowód do twierdzenia, że, pisząc z Wiednia, trzeba nieraz zawadzić o Peszt. Obecnie jest do tego i szczególny powód: oto pierwsza w Węgrzech *wystawa przemysłu kobiecego*.

Przed laty siedemnastu, kiedy w jednych murach z liczną drużyną Węgrów długie miesiące przebywałem, skarżyli się towarzysze mojej doli nieraz w te słowa: „Gdybyśmy mieli takie kobiety, jak Polki! — Węgierki są kształtne, żywe, namiętne, ale dusza śpi, inteligencji niema, o pracy, o poważnych zadaniach życia nie wiedzą, brak im też i patriotyzmu“. To słowa Węgrów nie może. Sądzę, że teraz musi już być o wiele lepiej; może będę miał sposobność bliżej się w stosunkach rozpatrzyć. Tymczasem zwiędzmy wystawę przemysłową przez Węgierki urządzoną.

Nazwy swojej wystawa wcale nie usprawiedliwiła; były to tylko w czwartej części okazy *pracy kobiet*, okazy przemysłu domowego, lecz najwięcej było przedmiotów przeznaczonych *dla kobiet*. Trudno tu dzisiaj określić różnice i granice pracy męskiej i kobiecej, dzisiaj, kiedy mężczyźni robią świece, warzą mydło, gotują konserwy jarzynowe, tkają płótno, robią pończochy, choć tylko na maszynach,—kobiety natomiast składają czcionki, grają na klawiaturze telegrafów, szyją w fabrykach mundury dla żołnierzy, podczas gdy ich niedzielne ubrania robią się w pracowniach krawców. Niema zdaje się pracy tak delikatnej, żeby jej mężczyźni nie poddali, są natomiast prace wymagające takiej siły, że im kobieta sprostać nie może. Te ostatnie *muszą* pozostać dla mężczyzn, ale prace wymagające cierpliwości, smaku, delikatności *mogą* i powinny być zostawione kobietom. Na wystawie z prac domowych widzieliśmy przedewszystkiem hafty, jedwabiem i złotem — niby na cele praktyczne, obicia na meble n. p., — jednak wcale niepraktyczne, wcale niezastosowane do użytku, boć ani na guzach siedzieć, ani na poduszce naokoło wysadzanej wypukłościami głowy oprzeć nie można; albo n. p. bogato wysadzane nocne koszule! Były to okazy rozrywkowej pracy kobiet zamożnych, tak samo jak i wszelkie wyszywania; żadnego kierunku, stopniowania—dyletantyzm.... Zniknęły te okazy wobec wystaw fabrykantów. Wszelkie artykuły dla kobiet wogóle i dla matek w szczególności od perfum, pudru, aż do bielizny dla niemowląt, kołyski

automatyczne, nawet z muzyką, — wszystko tanie i ładne dostarcza fabryka; ludzi, pracy domowej nie potrzeba, boć przecież i karmić można sztucznie... Oczywiście: kwiatów sztucznych mnóstwo, bukiety z różnych owoców, bobu, grochu, także fabryczne wyroby; a jeżeli są domowe, to materiały do nich gotowy i przybory, narzędzia, z *Parryza* sprowadzone — i okazane.

Jedynie zajmującą i zasługującą na badanie częścią wystawy były okazy przemysłu ludowego z różnych stron Węgier. Nic nowego, a wszystko nowe, jakby ledwo odkryte, na zdumienie Madziarów, bo to praca głównie ludności podbitych. Przepyszne kilimki, dywany, tkane przez kobiety serbskie w komitacie torontalskim, bogactwo barw, motywów, gustu, odwieczna tradycja, a świeża, godna naśladowania i niemniej wartości płótna w desenie, koronki złotem przetykane, materye na ubrania kobiet serbskich, rumuńskich, bułgarskich, *słowackich* ze Spizu.

Wspaniałe zbiór starych wzorów wystawiły zakonnice z Klasztoru Wesprimskiego. Uczyły się tego *niegdys* panny szlacheckiego rodu; lecz dywan serbski, bułgarskie tkaniny, rumuńskie wyszywania: to tradycja dawnych, lepszych czasów, kiedy, nietylko o najazdach tureckich, ale i o madziarskim najeździe słyhać nie było. Z węgierskich okazów są też i wyszywania na kołnierzach, rękawach, bundach; mają one swoje właściwe, pstre znamię, przypominające grę skrzypka na jednej strunie. Biskup Ipolyi, historyk, archeolog, wystawił zbiór starowęgierskich haftów i wyszywań ludowych. Węgrzy przyznają się do nich, ale powątpiewają: czy są *ludowe*. Były i lalki etnograficzne, zwłaszcza wyposażone przez hrabinę Andrassy. Pomijam okazy cierpliwości iście bezużytecznej, jak np. suknia ze 121 kawałeczków, tak uszyta, że nieznacszwu, izbę zabawek arcyksiężniczki Waleryi... a wspomnę jeszcze o książce Kramera: *Handbuch für weibliche Arbeiten* (Podręcznik do robót kobiecych), który ma być użytecznym. Katalog wskazywał grupy następujące: produkta handlowe, plastyczne roboty kobiet, dla spożytkowania czasu dokonywane, roboty ręczne szkół żeńskich, jako przygotowawczej pracy w domu. Wystawa była biedna; wiedzą o tem Węgrzy, lecz powiadają sobie, że to krok pierwszy, że niegdys i Anglia wystawy miała biedne, („chambre of horrors“) a przecież od małego doszła do wielkich dziś rezultatów przez samo poznawanie i zestawianie, które dozwoliły pracę umiejętną uczynić. Węgrzy też postanowili korzystać z odebranej lekcyi, podnieść naukę rysunku przemysłowego w szkołach, zabrać się do podźwignięcia przemysłu ludowego, a kobietom potrzebującym pracować samodzielnie, otworzyć jako pole pracy: *przemysł artystyczny*. Jest w tej mierze na Węgrzech przesądów więcej, niż n. p. u nas; zaledwo, że pozwolono przy pierwszej szkole rysunku przemysłowego w Peszcie otworzyć oddział i dla dziewcząt, na odpowiedzialność dyrektora. Lecz toruje sobie już drogę uznanie, że przemysł artystyczny jest dziedziną dla kobiet właściwą, tembardziej, gdy zbyt liczne uczennice seminariów nauczycielskich nie mają posad, a muzyka i sztuka w ogóle dają chleb i sławę tylko wybranym.

Dążność do podniesienia rzemiosła na wyżyny prawie sztuki, panuje dziś w całym świecie. Praca w tym kierunku dla kobiet przystępna, a najważniejszym do powodzenia warunkiem jest tylko pracowitość i dobra wola. Społeczeństwa europejskie, dzisiaj skazane na ciężkie zapasy o chleb powszedni, tracą wiele ze szlachetniejszych pierwiastków natury ludzkiej. Starają się odrabiać złe przez ocieranie się o sztukę, ale utwory sztuki są niedostępne: znowu tylko wybrani mieć je mogą, przedmioty zaś codziennego użycia wszyscy mieć muszą. Są one zwykle bez smaku, jednokie — są wygodne, ale ani przyjemności nie sprawiają, ani o duszę nie potracają. Celem właśnie przemysłu artystycznego jest nadanie im wdzięku, kształtności, znamion piękna przy utrzymaniu jaknajwiększej taniości. Otoż ta odradzająca praca jest dostępną i właściwą dla kobiet. Już się to w wielu krajach i w wielu gałęziach wytwórstwa materialnego praktykuje, a i to jeszcze trzeba zauważyć, że przedmioty co-



dziennego użytku niszczą się, więc pracy tej nie braknie nigdy; aż znowu kiedyś, kiedyś będzie i tutaj za dużo towaru — ale tem dzisiaj kłopotać się nie potrzebujemy.

Wracajmy do Wiednia. Powrót „sezonu“ odbył się w warunkach nadzwyczajnych. Najpierw goście królewscy z Włoch; królowa Małgorzata, uroczą, poprzedzona sławą piękności, dobroci i odwagi. „Naród“ gapił się po całych dniach, a cześć ciekawości ścigała na siebie i syamski, cudaczny książę Prisdang — uczący się w Europie. Potem winobranie w całej okolicy, i pielgrzymki z miasta na „Heuriger“ — osobne to święto, którego patronem, nie wiem dlaczego, św. Leopold. Potem mnóstwo wypadków, zabójstw i samobójstw, często z romantyczną powłoką: więc przedmiot najulubieńszy dla Wiedenek, które, nie wiem, co więcej lubią: czy kawę (niby ze śmietanką), czy plotki przy kawie? — a obie te cnoty zawarte są w nazwie: „Kaffeeschwestern“. Dalej wylewanie ulic i placów asfaltem, które może sprawi, tłumiąc turkot, że będzie można na ulicy rozmawiać; wystawy doroczne kwiatów, owoców i jarzyn; popisy Mata-fuegos... Tu muszę dać kilka słów wyjaśnienia. Od wielu lat robione studia doprowadziły już, zdaje się, do rezultatu. Oto zapala się buda drewniana, polana naftą i smołą; pożar ogromny: wtem przychodzi p. Delattre z jakąś sikawką na plecach — *mata-fuegos* — i zalewa ogień w minutę. Albo zapala się cały staw smoły; płomienie buchają na piętro wysoko: czarownik-wynalazca przytłumia ten wulkan w pół minuty. Patrzały na to tysiące ludzi kilka razy. Ale miały i na co innego patrzeć i czego innego słuchać. Teatra zaczęły sezon, i to jaki: Sara Bernhardt i kilka nowych sztuk. W Künstlerhausie Wereschagin, w Kunstvereinie Piloty; w literaturze mnóstwo nowości, a wreszcie obrady delegacji austrowęgierskich i posiedzenia Rady Państwa, — a niemała też *rozrywką* są dla Wiedeńczyków pogrzeby, n. p. niedawny ministra Hejmerlego.

Więc zacznijmy „kronikę“ od tej, która żyje za trzech, a codziennie umiera. Jako taka nadała się jaknaraz do Wiednia, zawróciła mu głowę; okazał się Wiedeń nieco parafricanem, który pozwala sobie zanadto imponować, daje się porównać, jakby nigdy nie nadzwyczajnego nie widział. Zresztą nadzwyczajną Sara Bernhardt nie jest, lubo nie jest i pospolitą. Osądźcie podobno sami w Warszawie — lecz i ja tu moje trzy grosze wtrąć i nie bez *ale*.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## O BOWIĄZEK

(Streszczenie z Samuela Smiles).

(Dalszy ciąg).

Odkąd Howard utorował ziomkom swoim drogę, tego najwyższego może miłosierdzia, które każe z tklivością wyciągać dłoń bratniej pomocy do występny, do zbrodniarza, nie brakło nigdy w Anglii ludzi szlachetnie poświęconych w tym kierunku. Znajduje się między nimi bardzo znaczny procent kobiet i to klas wszelkich. Elżbieta Fry, Mariam Tantall, Sara Martin, były rzeczywistemi *Siostrami miłosierdzia*, opatrującymi rany duszy, nie ciała, gojącymi je z troskliwością ofiarnic. Sara Martin była ubogą szwaczką bielizny; z okien swego magazynu ujrzała raz kobietę, wiedzioną do więzienia za okrucieństwo, popełnione na własnym dziecku: i oto intuicyja tkliwego serca stawa jej przed myśl wielkie zagadnienie psychologiczne, pomijane nieuważnie przez prawodawcę, przez urzędników państwa: Jak występna, ze wspomnieniem tylko winy swojej zdoła znieść samotność — samotność tem większą, tem zupełniejszą, że nie czuwa wpośród niej myśl religijna i uczucie wszechobecności Boga? Takim jednak mu-

si być stan duszy przestępczyni, bo inaczej nie popełniłaby tego, za co teraz ponosi karę, i młoda szwaczka wzrusza się, rozżala głęboko. Wieczorem, gdy skończył się dzień mozolnej pracy, ona, mając przed sobą duży kawał drogi, odbywanej dwa razy dziennie pieszo do podmiejskiego folwarku, w którym mieszkała, zabiega niemniej do bramy więzienia i prosi, błaga dozorcę, aby jej pozwolił widzieć się z uwięzioną. — POCO? — W jakim celu? — Aby jej mówić o Bogu i z nią się pomodlić — odpowiada dziewczyna, i dozorca wzruszony tą dobrocią, tklivością serdeczną, otwiera drzwi, ale uwięziona ją odpycha. Gniewa ją zrazu widok łez, wylewanych nad nią, szydzi ze słów, które słyszy, lecz gdy Sara kłeka przy drzwiach celi i poczyną mówić pacierz, jej budzą się w umyśle dawno uleciałe wspomnienia młodości, wzruszenie wstępuje w serce, usta mimowoli poruszają się modlitwą cichą, którą Sara przychodzi powtórzyć jej na drugi, trzeci, dziesiąty dzień, i to był prosty, cicho pod siłą najczystszej uczucia dokonany początek szlachetnej, wielkodusznej pracy, która zczasem zamienia się w urząd sankcyonowany przez państwo, czyni się wskazówką do ważnych zmian w urzędzeniu więzień kobiecych i rozgłoszona potem przez dzienniki, zyskuje już biednej, ledwo że pisać i czytać umiejącej kobiecie taką cześć publiczną, że współobywatele kładą jej na grobie kamień pamiątki, i nazwisko jej zostaje zapisaniem w moralnych dziejach narodu, między dobrze zasłużonymi córami Anglii.

Smiles zapomnia kilka kart swojej książki przykładami, jak umiętne, łagodne postępowanie z więźniami może podnieść i uszlachetnić najdziksze, najbardziej zatwardziałe natury. Szczególniej działa tu okazana im wiara, że i oni mają jeszcze w sercu coś uczciwego, coś wzniosłego, że potrafią ocenić dobrze i położone w nich zaufanie. Oddziaływa to w podobny sposób i na wypuszczonych już z więzienia. Społeczeństwo ma tu poniekąd prawo nieufności i wstrętu, ale miłość bliźniego powinna wzniesić się ponad te uczucia i nie odpychać nieszczęśliwych, bo wtedy cóż im zostanie? Nędza zmusza ich do powrotu na ścieżki występku, żal do ludzi, niechęcych ich dopuścić do pracy uczciwej, niechęcych darować im winy, za którą odcierpieli już karę, ani uwierzyć w możność ich poprawy, rozjątrza im serca i każe nanowu brnąć w zło. Jeżeli więzień za murami celi może być przedmiotem litości ludzkiej i celem ich miłosierdzia, to uwolniony z niej a nie mający przed sobą żadnej otwartej drogi do uczciwego życia, zasługuje na nią stokroć więcej. Między filantropami angielskimi, którzy działali w tym kierunku, zaznacza się Tomasz Wright, postać niewymownie piękna przez prostotę swoją i uczucie, niewymownie przez to pouczająca w swoim miłosierdziu; bo człowiek ten nie miał ani majątku, ani wyższego stanowiska w społeczeństwie, ani naukowego podniesienia umysłu, a na podobieństwo Sary Martin zdziałał tak dużo, że imię jego pozostanie zapisaniem w dziejach dobroczynności angielskiej.

Urodzony w Manchester, syn niezamożnej wdowy z klas średnich, był chowany bardzo religijnie, otoczony wielką troskliwością miłości macierzyńskiej, ale brak surowszej karności, jaką zwykle z natury chłopca i przy wyjściu z dzieciństwa, stał się on rozpuszczonym, złych towarzystw szukającym próżniakiem. Lecz matka, jak niegdyś św. Monika, odkupiła zbłąkanego. Wspomnienie jej nauk religijnych, tkwiło na dnie pamięci, jak przywiązanie do niej na dnie serca, i spotkanie jakiegoś uczciwszego młodzieńca rozbudziło w nim te z lat dawniejszych wyniesione zarody dobra. W piętnastym roku życia wszedł do odlewalni żelaza, gdzie początkowo zarabiał pięć szylingów na tydzień, ale że był uczciwy, pracowity i trzeźwy, że miał wysokie pojęcie obowiązku, już w ośm lat później, więc w dwudziestym trzecim roku jego życia, znajdujemy go dozorcą robotników giserów, z pensją trzech funtów i dziesięciu szylingów tygodniowo. Dalej już się nie posunął, ale na tem podrzędnym stanowisku umiał sobie zarobić na sławę i cześć współziomków: umiał się stać, w wyższym znaczeniu tego słowa, pożytecznym obywatelem swego kraju.

Robotnik, który raz dopuści się przestępstwa i przejdzie przez więzienie, staje się w ojezynie swej tułaczem. Zwykle wstyd nie daje mu powrócić do dawnego miejsca pracy, które też najczęściej byłoby dlań zamknięte; przecież bez świadectwa, którego złożyć nie może, nie otworzy mu się nowe: i w tem-to okrutnem położeniu ciche podszepty zepsutych od niego współtowarzyszów przecierpianej kary poczynają się w nim odzywać, i jeżeli jeszcze walczy z nimi, jest to moment, w którym jego anioł prawy spiera się o niego z aniołem lewym. Podać mu wtedy dłoń litośnej pomocy, jest to zbawić go, i pierwszym krokiem Tomasa Wright na drodze, która go miała zawieść daleko, był taki dobry uczynek miłości bliźniego. Robotnik, nieznany nikomu, przyszedł raz do fabryki, prosząc o robotę; otrzymał ją, okazał się pilnym, uważnym i inteligentnym, ale poczęły krażyć wieści głuche, że jest to przestępca, uwolniony z więzienia, a Tomasz Wright został zapytany przez właściciela fabryki: czy widział jego świadectwa? Nie, nowoprzybyły nie okazał mu ich, ale człowiek potrzebujący pracy, zarobku, kawałka chleba, prosił o robotę; czyż więc miał mu jej odmówić dla jakichbądź względów? Teraz przecież było już jego obowiązkiem zrobić to, co zwierzchnik ich obu żądał od niego i Wright zapytał się biedaka: gdzie pracował poprzednio? Odpowiedział, że za granicą, ale po dalszych, bardziej szczegółowych badaniach, przyznał się do smutnej prawdy. Tak, był przestępcą, przybywał tu z więzienia, ale chciał teraz wrócić na drogę uczciwości, chciał pracą zarabiać na życie, a że lzy puściły mu się z oczu przy tem wyznaniu bolesnem, Wright uspokoił go łagodnym słowem, przyrzekł, że nie straci w fabryce zajęcia i takdalece wziął do serca los nieszczęśliwego „dla łez, które widział jak płynęły“, że opowiedział właścicielowi fabryki wrażenie swoje, ofiarował się poręczyć za biednym człowiekiem, złożył 20 funster., sposobem kaucyi, i protegowany Wright'a mógł dalej pracować spokojnie, ale, niestety, protektor nie zastał go nazajutrz przy pracy, bo właściciel fabryki zapomniał cofnąć wydany poprzednio rozkaz i drzwi warstata zostały zamknięte przed biednym: nie wpuścił go tam odzwierny.

Wright posłał po niego do mieszkania, ale nie było go już i w mieszkaniu; zabrał swoje małe mienie i poszedł w świat.

Czy zebrać, czy rozbijać, czy odjąć samemu sobie życie?

Wright dowiedział się od ludzi, w jakim kierunku drogi puścił się nieszczęśliwy i pośpieszył za nim natychmiast, poszedł pieszo — czyniąc to zapewne i teraz „dla łez, które widział jak płynęły“.

O kilka już mil (angielskich) poza miastem, znalazł biedaka. Siedział na kamieniu przy drodze, złamany cierpieniem, upadły na duchu, z rozpaczą w oczach; ale Wright zapewnił go, że postąpiono z nim mylnie, że jego miejsce w warstacie jest wolnem i czeka na niego, a chcąc go pocieszyć i podnieść na duchu, wyciągnął doń dłoń jak do brata i uściśnął mu rękę — rękę, która była niedawno okutą w kajdany. Powiedział, że zaręczył za niego, bo ufa mu.

Razem też wrócili do fabryki; uszanowanie, jakie miano dla Wright'a, otoczyło biedaka kołem ochronnem, którego przestąpić nie śmiano. Że dotrzymał on uczciwie słowa, danego poręczycielowi swemu, że nie zboczył już odtąd z prostej drogi życia, poręczyciel ten nie miał nigdy powodu żałować swego postępcy, lecz przeciwnie, czyn ten dobry przyniósł nagrodę stokrotnego plonu, który znalazł się najpierw we własnym duchu Wright'a. Poruszone uczucie skierowało jego umysł na myśli: jak społeczeństwo może i powinno ulżyć wielu nędzom moralnym przez pomoc udzieloną ludziom, choćby już raz występny, w tej chwili wyroczonej, gdy znajdują się na rozstajnych drogach życia, chwiewają się między złem a dobrem. Stało się to zwolna główną ideą jego życia, myślą, która już się usunąć nie dała, posłannictwem jego. Samotny był on jednak w tej rzeczy; nikt w koło niego ani się chciał nią zająć, ani nawet podzielał jego przekonania, ale Wright był człowiekiem silnej woli, mocno stojącym przy pragnieniach swoich, a że wierzył głęboko w dobro, tkwiące zawsze w duszy człowieka, choćby gdzieś na dnie



ostatniem, nie cofnął się w zamiarach swoich, jakkolwiek zrazu miały one bardzo skromny cel przed sobą.

Mieszkał w sąsiedztwie więzienia, ale nie dano mu tam innego przystępu nad możność znajdowania się w Niedzielę popołudniu na niesporach w kaplicy więziennej, lecz on nie odrzucił i tego. Wzruszały go głosy więźniów śpiewających hymny pobożne, wsłuchiwał się w nie, śledząc tony, które powinny były drzeć uczuciem oczyszczającym, aż raz kapelan więzienia, który go już znał i wiedział coś o nim, zapytał: czy nie znalazłby pracy dla jednego z więźniów, mającego wkrótce wrócić na wolność? Wright przyrzekł, że starać się będzie, i dotrzymał obietnicy; robota czekała na biedaka, a dozorca więzienia otworzył mu od tej chwili bramy tego smutnego przybytku sprawiedliwości, pozwolił nawet wchodzić do cel zamkniętych osobno, pozwolił obcować z tymi, których tam trzymał pod kluczem, radzić im w kierunku pracy, jakiej się tu uczyć mogli. Bywał przytem powiernikiem ich trosk skrytych, pośrednikiem między nimi a rodzinami, lecz przede wszystkim czuł nad nimi, którym czas kary dobiegał, którzy mieli wkrótce znaleźć się na wolności. Zastawali go zawsze na progu do niewiódł ich do ich domów dawnych, a tym, którzy ich nie mieli, na których spotkanie nikt nie czekał, usiłował znaleźć kąć jakiś. Ubogim zupełnie wciskał w rękę grosz zapomogi i starał się dla wszystkich o robotę—o powrót do życia w społeczeństwie, na warunkach uczciwych i nieupokarzających. I powodziło mu się to szczęśliwie. Właściciele, nadzorcy fabryk i wszelkich zakładów pracy, ufali mu; on powierzał im pod pieczęcią tajemnicy historią nieszczęśliwych winowajców, a gdzie nie znalazł zupełnego zaufania, gdzie widział obawę i niepewność, tam tytułem kaucyi składał własny swój pieniądz, co zwykle uproszczało stawiane mu trudności.

Był przecież zawsze tylko dozorcą w fabryce, miał zawsze tylko tę skromną pensję swoją, ale miłość wszystko może, a ten człowiek tak kochał ludzi, że to uczucie stawało się oszczędnością, która grosz mnoży, zaparciem się siebie i ofiarą, która go dla potrzebujących zawsze znaleźć zdoła. I tak cicho, spokojnie działając, zawsze tylko w święta, lub w godziny wolne od pracy, potrafił w przeciągu lat kilka dać uczciwe zajęcie, spowodować powrót do uczciwego życia trzystukilkudziesięciu uwolnionym więźniom.

A dokonywał jeszcze więcej: z tklivym żalem patrząc na kobiety uwiecznione, zajmował się bardzo troskliwie ich stosunkami domowemi, odbywał nieraz dalekie podróże w okolice, prawie zawsze pieszo, aby pośredniczyć między nimi a ich rodzinami, i gdy naprzykład żona miała wkrótce zostać uwolnioną, on najtkliwszemi słowami, często na kolanach, błagał męża, aby ją przyjął z powrotem do domu. Były takie, które bardzo silnie tęskniły, czy-to za mężem lub dziećmi, czy za rodzicami, rodzeństwem, i Wright sprowadzał ich dla odwiedzenia nieszczęśliwych, usiłował, o ile to było w jego mocy, aby przywiązanie rodzinne nie zamierało nigdy w uwiecznionych i pielęgnował, często usiłował wskrziesić je i iskrę jego rozdmuchać nawet tam, gdzie już zagasła: w sercach nawet bardzo występnych. Pamiętał przeszłość własną i wiedział, że to może być dla dusz wielu bardzo silna, a często jedyna lina ratunku i wybawienia ode złego.

I miewał Wright bardzo często wielką pociechę, wielką dla serca swego nagrodę za trudy poniesione, widząc, czem się stają uratowani przezeń od zatracenia. Człowiek jeszcze młody a świeżo uwolniony z robót karnych w Portland, stawiał się raz przed nim z listem od kapelana. Wright znalazł mu najpierw miejsce zamiatacza ulic, potem użyto go do naprawiania bruku, a zany jego opiekun wyjednał mu przytem wstęp do niedzielnej i wieczornej szkoły, w których wkrótce z uczącego się stał się nauczycielem, a kapłan stojący na czele zakładu, kanonik Stowell, tak się zainteresował jego niepospolitemi zdolnościami, jego zamiłowaniem książki, że począł go znów sam uczyć oddzielnie w kierunku wyższym. Uwiadomiony przez Wright'a o przeszłości swego ucznia, nie cofnął mu mimo to pomocy udzielanego

światła, i człowiek, który przeszedł przez roboty karne, został w lat kilka wyświęconym na księdza.

A w Anglii każdy duchowny anglikańskiego wyznania musi być człowiekiem wyższego wykształcenia, nie tylko w teologii, ale i w naukach klasycznych: musi przejść przez uniwersytet; każdy przytem musi być nieskazitelnym człowiekiem. Kapłan jest w tem społeczeństwie otoczony uszanowaniem i szacunkiem najwyższym, ale też musi zasługiwać na to. Niewolno mu być nigdy choćby tylko lekkomyślnym, a co więcej, niewolno mu być próżnującym egoistą: każdy obowiązany jest pracować nie tylko przez sprawowanie obowiązków kapłańskich w kościele. Winica Pańska rozciąga się tam do prac apostołskich w kierunku moralności i oświaty, a obyczaje księży tak są czyste, że nawet na rodziny ich nakłada to obowiązek wyższej cnoty chrześcijańskiej.

To też Tomasz Wright musiał dnia tego zakosztować słodyczy anielskiego rozradowania duszy, gdy ten, którego wydzwignął z przepaści nędzy i wstydu, stanął przed ołtarzem Boga jako pomazaniec Pański i przedstawiciel Chrystusa na ziemi.

Pracował tak cichy i skromny miłośnik ludzi przez lat dziesięć; sam jeden, bez pomocy żadnego stowarzyszenia, pod natchnieniem i zachętą jedynie własnego serca, poświęcając dziełu miłosierdzia wszystkie wolne od pracy chwile, przecież uznanie ludzkie nie mogło go ominąć i musiał w końcu otrzymać nagrodę czci ogólnej. W jedenastym roku jego poświęconej działalności sprawozdanie doroczne ze stanu więzień państwa temi wyrazami określiło jego zasługi:

„Chcąc przedstawić rozległość dobroczynnej czynności tego pokornego i samotnie działającego człowieka i zarazem wykazać, jakimi są jej owoce, należy tu zaznaczyć, że z liczby 96 przestępców kryminalnych, którymi w tym roku się zajął, i których przywrócił życiu społecznemu, tylko czterech powróciło na dawną drogę występku. Jest rzeczą wielce przyjemną zaświadczyć, jakie niezmaczone niczem zaufanie, jaką ogromną wiarę pokładają w nim ci nędzni i występnymi ludźmi. Doprowadza ich do tego jego prosty, nieformalizujący się, prawdziwie ojcowski sposób świadczenia im dobrodziejstw“.

Przecież bardzo często Wright nie mógł znaleźć dla tych biedaków pomieszczenia. W takim razie pożyczal im własne swoje, lub w kole swych skromnych przyjaciół zebrane pieniądze i wysyłał ich jako wychodźców poza granice Europy. W ten sposób wyprawił własnymi siłami 941 wypuszczonych z więzień, lub uwolnionych z robót karnych, pragnąc przez to przynieść im na grunt życia nowy, kędy nie byłiby narażeni na spotkanie dawnych towarzyszy występku, gdzieby wreszcie źródła pracy były im tak otwarte, jak wszystkim innym członkom społeczeństwa, nienoszącym na sobie nieszczęsnego piętna hańby. Często bardzo ci, którym pomógł niegdyś, współdziałali z nim w poświęconej jego pracy: wywiadywali się o robotę dla tak nieszczęśliwych, jak oni niegdyś, zbierali między sobą składki dla wysyłanych na emigracyę. W 1864 r. odebrał Wright list z Północnej Ameryki, od wychodźcy, którego tam wysłał był przed kilku laty, a który nazywając go w nim „drogim ojcem przybranym“, przysyłał mu z owoców zarobku swego 2 funt. sterl. dla londyńskiego domu poprawy. Wstąpił on już szczęśliwie na drogę, wiodącą do pomyślności i w liście były te słowa: „Twojej panie, nigdy niezapomnianej, ojcowskiej pomocy winien jestem szczęście dzisiejszej mej doli. Tyś był moim najlepszym, najczulszym, jedynym przyjacielem i doradcą na ziemi, ty bez pomocy niczyjej oswobodziłeś mnie własną swoją siłą od życia występku. Kiedy wszyscy odwrócili się odemnie jako od łotra i włóczęgi, ty, jak ewangeliczny ojciec marnotrawnego syna, przyjąłeś mnie na drodze powrotnej do cnoty i uczciwości, pocieszyłeś moje młode serce obietnicą dni jaśniejszych, rozświecając rodzicielskie twe rady czystsza jeszcze nadzieją pozagrobowej przyszłości. Niech Bóg cię błogosławi, Ojciec drogi! Niech Bóg cię błogosławi za wszystką dobroć twoją... Łzy słod-

kiego wspomnienia spływają mi na lica, gdy myślę o szlachetnych twych ofiarach dla biednych, nieszczęśliwych i upadłych bliźnich“.

Wright wśród tych ofiar pracował w odlewałni dziennie trzynaście godzin, bo od piątej rano do szóstej po południu, a często i dłużej jeszcze, obowiązany do zaprowadzania porządku w warsztatach, gdy opuścili je już robotnicy. Nie ożenił się przytem, podobnie jak Jan Howard nie miał w ofiarniczem swem istnieniu miejsca na osobiste szczęście serca, a raczej znajdował je w uszczęśliwianiu innych, tych najnędzniejszych, najniższych już, których nikt ukochać nie chciał. Ale czas biegł; już miał przeszło lat sześćdziesiąt; jego zdrowie, dotąd zadziwiająco silne, zaczęło słabnąć, a on nie zebrał nic, nie odłożył na dni sędziwości grosza żadnego, i kraj poczuł się nareszcie do jakiegoś obowiązku względem tego szlachetnego pracownika swego. Rząd ofiarował mu miejsce wizytatora więzień, objeżdżającego je inspektora, z pensją roczną 800 funtów, co zdawało się obmyślanem w celu, aby mógł coś zaoszczędzić sobie na starość późniejszą, a zarazem, aby sfera jego działania rozszerzyła się korzystnie. Ale onniemysłając się odmówił przyjęcia; zdaniem jego—jak odpowiedział rządowi—zmniejszyłoby to jego możność czynienia dobrze biedakom, którzy widząc w nim urzędnika cofnęliby mu ufność swoją i nie byłiby już tak szczerzy, tak wywnętrzającymi się swobodnie, jak dotąd.

Wtedy mieszkańcy Manchester'u postanowili złożyć sumę, dającą mu taki dożywotni dochód roczny, jaki przynosiła mu dotąd jego praca. Z funduszów rządowych przeznaczonych na cele dobroczynne, wpłynęło do tej składki tylko 100 funtów, resztę złożył lud manchesterski; najuboższe klasy uważały sobie za powinność i zaszczyt przyłożenie tu pieniążka swego i miasto rodzinne zapewniło w ten sposób Wright'owi do śmierci to, co mu w latach jego czerstwości męskiej dawał pot jego czoła: 182 funty sterlingów.

W dodatku do tego bardzo ceniony w Anglii malarz, Watt nadesłał piękny obraz, przedstawiający Wright'a pod postacią dobrego Samarytanina. Obraz ten, „an admirable picture“ jak się wyraża Smiles, został przesłany na ręce Stowarzyszenia Cechów Manchesterskich „jako wyraz artystycznego uwielbienia i szacunku dla szlachetnego filantropa, Tomasza Wright“.

Zawieszono go na pierwszym miejscu w głównej sali manchesterskiego ratusza, a ten sędziwy już mąż, którego sztukmistrz w nim uwielbił, pracował nieprzerwanie w obranym kierunku, zwracając teraz w dodatku zajęcie swoje na wychowanie opuszczonych dzieci ludu, na sieroty i młodzież moralnie zaniedbaną, i on to wymógł na Cobdenie, który wtedy właśnie podnosił w obce kraje głos w kwestyi wychowania narodowego, aby odpowiednie zakłady poprawy wznoszone były co najprędzej jako „najskuteczniejsze środki przeciw nędzy i zbrodni“. Czynny ustawicznie i zajęty prawie bez odpoczynku, nie chciał, aby ze względu na wiek jego i siły stargane, oszczędzano go. „Pracować, pracować, póki jeszcze dzień, bo i tak nadejdzie wkrótce noc“ to było jego zwykle zdanie w takich razach, hasło jego życia.

Doszedł też, czynnie zajęty, osmdziesiąt pięciu lat wieku; od tej epoki siły poczęły go szybko opuszczać, niemniej jednak przyjmował prawie zawsze każdego, kto się chciał z nim widzieć i ubogich, wychodzących z więzienia, lub wracających z kolonii karnych. Rozmawiał z nimi życzliwie, dawał im rady i wskazówki, ale śmierć już się zbliżała i życie uchodziło z dniem każdym, miał też wciąż na ustach ten wiersz 23-go psalmu: „O jeden dzień drogi dom mój jest bliższym mnie“. Umarł spokojną, łagodną śmiercią, d. 14 Kwietnia, 1875 roku i zgon jego dawał się określić najdokładniej tem wyrażeniem, że „przeszedł do wieczności“.

(Dalszy ciąg nastąpi)



# Poezya Indian amerykańskich

przez

Sygurda Wiśniowskiego.

Indianie dzicy nie mają książek, a historią swoją przechowują w formie podań ustnych. Opowieści i klechdy, podawane synom przez ojców, są jedynym ogniwem pomiędzy następującymi po sobie pokoleniami. Największa część tych tradycji żyje, wcielona w śpiewy i obrzędy allegoryczne — czyli w poezję. Spisanie poematów indyjskich literami łacińskimi jest zadaniem bardzo trudnym, bo niektóre tony licznych narzeczy tego ludu są nieznanne w żadnej z mów ucywilizowanych i nie mają odpowiednich znaków w alfabecie łacińskim. Przekład ich na jeden z języków europejskich jest niemniej trudnym, albowiem Indianie nie mają gramatyki, a znaczenie wielu gardłowych, przytłumionych chrząkań i wykrzykników, które im się posługują, nie pozwala się określić, gdyż odmienia się w miarę okoliczności, przy której takie tony były użyte. Trudność dokładnego powtórzenia pieśni indyjskich pisownią polską została także powiększoną i z tego powodu, że jedynymi prawie ich zbieraczami byli ludzie mowy angielskiej, nie posiadającej alfabetu fonetycznego: każdy więc z grona tych badaczy spisywał powtarzane sobie wyrazy według własnej metody i nie można nigdy być pewnym, w jaki sposób rodowity czerwonoskórzec je wymawiał. Niemniejszej dowolności pozwalają sobie ciż sami panowie w swoich tłumaczeniach utworów indyjskich i należy to zaliczać do rzadkich wypadków, jeśli przekłady tejże samej pieśni, przez rozmaite osoby dokonane, zgadzają się chociażby w treści.

Jeszcze jedna trudność rzuca kij pod nogi tłumaczowi śpiewów lub powiastek Czerwonoskórego Ludu — mianowicie: obfitość dyalektów indyjskich, posunięta tak daleko, że nawet sąsiadujące z sobą narodzi nie są zdolne porozumiewać się za pomocą mowy ustnej — słów. Jednakże rozmawiają się z łatwością, nie tylko one, ale nawet oddalone od siebie plemiona, za pomocą giestów i wykrzykników, z których się składa bezsłowna *lingua franca* autochtonów północno-amerykańskiego kontynentu, — a tej nauczywszy się, awanturnik europejski mógłby przejść cały kraj szeroki od zatoki Hudsona do Czerwonej Rzeki Meksykańskiej i porozumiewać się dostatecznie ze spotkanymi synami stepu najrozmaitszych narodowości.

Ruchy rąk i ciała, krzywienie twarzy i t. p. migi będące kluczem do dyalogów wszystkich Indian, tworzą tak samo integralną część ich poematów, jak są koniecznym dodatkiem ich rozmów. Te, nie dające się przelać na papier, dodatki nie mogą także znajdować się i w przekładach. Gdy czerwonoskórzy improwizator deklamuje lub śpiewa, ruchy ciała są zawsze najbardziej poetyczną i elektryzującą słuchaczów częścią jego rapsonu, a wyrazy li tylko wypełnieniem budowy jego mistycznego i pięknego utworu. Powtarzając same tylko słowa, podajemy jedynie plewę, ale czytelnik musi przedstawić sobie w tkliwej duszy, jak wyglądało złote ziarno poematu.

Zważywszy tedy powyższe okoliczności, zabieramy się do przedstawienia czytelnikowi kilku próbek poezji indyjskiej z wilką nieśmiałością. Przekłady nasze musiałyby zostać błędami kopiami oryginałów, nawet w takim wypadku, gdybyśmy wprost z dyalektów indyjskich je tworzyli; gdy zaś musimy brać je z drugiej ręki, wartość ich staje się stosunkowo mniejszą. Nie wolno nam ręczyć, iż są dosłowne, albo, że charakterystyczne rysy oryginałów indyjskich w nich się zachowały. Jedna tylko, następująca okoliczność daje rękojmią, że wypisy nasze nie są wręcz fałszywe i duchowi poezji czerwonoskórej się nie sprzeciwiają: a mianowicie ta, że część podanych poniżej przekładów znaleźliśmy w zbiorach angielskich, z których nic takiego nie przyjęliśmy, co by nie posiadało aprobaty dwóch lub więcej znawców przed-

miotu, inną zaś, większą część, powtarzamy za osobami, o których długoletniemu pozyciu z czerwonoskórcami i biegłości w jednym lub więcej z indyjskich dyalektów mieliśmy dowody niewątpliwe. Dyktując nam oryginalne słowa indyjskie ciż sami panowie tłumaczyli je na mowę angielską lub niemiecką, a w jednym wypadku duńską, który to przekład musieliśmy później zakaż przetłumaczyć na język nam zrozumiały.

Jeszcze raz powtarzamy nasze skromne wyznanie: że nie tylko nie przypisujemy poniższym przykładom poezji indyjskiej żadnej wartości naukowej, ale nawet nie odważylibyśmy się przedstawić ich szerszemu kołu czytelników, gdyby nie ta okoliczność, że koniec końców nie udało się nam spotkać w językach kontynentalnych europejskich z poważnymi, na przykładach objaśnionemi, rozprawami o wymienionej poezji. Mamy słuszny powód do mniemania, że literatura Czerwonoskórców nie zwróciła na siebie uwagi, chociażby mówczych Niemców, tudzież, że, odważając się postawić krok nieśmiały na tem polu, trafiamy na godną zbadania nowinę. Nasze uwagi nad dziewczą dla krytyków europejskich twórczością poetyczną miedzianej rasy, mogą więc tyle przynajmniej dobrego zdziałać, że zwrócą uwagę zdolniejszych badaczy na niwę, z której zebrać można żniwo obfite i piękne.

Czas już, aby w wieku bieżącym, starającym się z chwalebą gorliwością podjąć i zabalsamować wszystkie podobne zabytki, zajął się ktoś także uratowaniem od zapomnienia oryginalnych utworów wyobraźni ludu, skazanego na nieda leką już zagładę.

Obłoki, słońce, księżyc, błyskawice, huk piorunów, zjawiska burz i pór roku: oto są przedmioty budzące w duszy dzikiego człowieka popęd do śpiewu. Naksztalt innych ludów na najwyższym stopniu kultury, Indianie także obrazują i ozywają swoje śpiewy i powieści opisami zjawisk przyrodzonych, które żywo odczuwają.

Lubią opiewać w takt, z dziwną muzyką, także i wojnę i łowy i miłość; ale byłoby niemniej trudnym zadaniem oznaczyć naszymi nutami rytm i melodyę ich aryj, jak powtórzyć naszymi słowami wyrażenia ich geniuszu poetycznego. Gestykulacja ich powiada więcej, niż mowa, a muzyczny akkompaniament rapsonów wolno by przyrównać do szumu wiatrów, do tęsknego szelestu liści na drzewach, do eolskich tonów płynących wieczorem ponad ziemią, gdy się zdaje poetycznie usposobionemu słuchaczowi, że w powietrzu ciągną niewidome, piękne duchy. Któż odegra na instrumencie ludzkim urywek z symfonii przyrody? Kto powtórzy indyjską nutę?

Taniec bywa także ważnym dodatkiem rapsonów tego ludu, a często wystarcza sam taniec do wyrażenia uczuć poety. Dziewczyna czerwonołica, tańcząca przed wojownikiem — milczy; jednakże tak mu przychodzi łatwo zrozumieć jej myśli i żądze, jak my pojmujemy intrygę pantominy z gry niemych aktorów. Chcąc namówić wojownika, żeby spieszył na łowy, skacze ona, jak jelen, goni z wyciągniętą głową i ramionami zwierzynę, uciekającą w jej wyobraźni i zakreśla koło, zabiega drogę stworzeniu ściganemu, a w końcu ciska weń oszczep zabójczy. Zagrzewając go na wojnę, zaczyna od przygotowania się i zbrojenia, chodzi około wodza powoli, nakłada groty na strzały, napelnia strzałami kołczan, przyspiesza kroku, maszeruje coraz skorzej, spotyka przeciwnika. Bitwa się zaczyna i wre, wróg ucieka z pola, tancerka goni i dopędza go; porywa strzałę z kołczana swego kochanka i przeszywa nią serce widma nieprzyjacielskiego, gdy zaś przeciwnik wyimaginowany kona, ona się schyla, żdzie- ra skalpe z jego czaszki, wiesz ją u pasa i kończy taniec tryumfalnym marszem<sup>1)</sup>. Wszystko to odbywa się w milczeniu, ale nawet Europejczyk byłby zdolnym zrozumieć pantominę dzikiej taneczniczki, wojownik zaś czerwony czerpie z niej wskazówkę postępowania i zapala się furją.

Ciągnać na wojnę, Indianin zwykł śledzić z u-

wagą lot ptaków<sup>1)</sup>. Z tego powodu spotykamy bardzo często w pieśniach wojennych Indian aluzje do istot pierzanych. Jeśli czerwonoskórzec ujrzał ptaka drapieżnego, zmierzającego w kierunku nieprzyjaciela, wtedy wróży sobie zwycięstwo i śpiewa na całe gardło, że ptak leci pożerać ciało przeznaczonego na śmierć przeciwnika. Suowie czyli Sioux, jak zwykliśmy pisać nazwisko najbardziej wojowniczego z narodów indyjskich, chociaż sąsiedzi ich oraz oni sami nazywają się Su, powtarzają podczas marszu następującą zwrotkę, ilerazy ujrzą stado sępów lub orła na niebie;

Orły jęczą na wysokości,  
Orły ostrzą dzioby krzywe,  
Podnieśmyż wojenne okrzyki,  
Bo sława oczekuje naszego wodza.

Chcąc dodać otuchy rekrutom, czyli młodym wojownikom, poraz pierwszy zaszczyconym przyjęciem do wyprawy wojennej, wołają ciż Suowie:

Ptaki walecznych krążą pod błękitem,  
I lecą nad szykiem nieprzyjaciela;  
Błogo mi, bo ciało moje tam legnie,  
Gdzie lubią spoczywać waleczni...

Ponieważ Indianie podzielają wiarę, że ptaki są istotami uposażonymi rozumem i posiadającymi dar przewidywania przyszłości ludzkiej: więc zwykli obserwować każdy ruch ptaków niedalekich z pilnością augurów, oraz wyciągać wróżby ich lotu, ich żerowania i głosów. Czerwonoskórzy nad zatoką Saginau śpiewają piosenkę o sokole, którą znaleźliśmy między innymi ich poematami w książeczce wydanej w Kanadzie. Podajemy ją, jako przykład śpiewu wróżbitów indyjskich o ptakach:

Sokoły umieją zręcznie wykręcać głowy,  
Sokoły umieją w locie oglądać się poza siebie  
Duchy słoneczne szepnęły im coś do ucha,  
Lecą one szybko z wieściami,  
I w locie uważnym spoglądają bystro,  
I widzą najdalsze krańce ziemi,  
A ich oczy świecą ogniście,  
A ich dzioby wróżą nieszczęście.

W tamsamym dyalekcie Saginau była ułożona inna pieśń o sokołach, także zawarta w wymienionym zbiorze. Nazywa ona sokoła ptakiem przebywającym wciąż na wolnym powietrzu, zostającym w ścisłych stosunkach z Wielkim Duchem i znającym wyroki Jego tajemniczej woli. Tłumacz angielski zepsuł zapewne niejedną myśl oryginału, siłąc się na oddanie go rymem. Przytaczamy jeden z ustępów jego przekładu:

Ptaki! dzikie ptaki, przez wysokie bóztwo stwo-  
[rzone  
I obdarzone cudowną wiedzą,  
Czemuż się obracacie trwożliwie, nieśmiało,  
[z przerażeniem,  
I spoglądacie na niebo, pozostawione za wami?

Czy nam niesiecie wieść trudną do zrozumienia?  
Czy pokazujecie wrogów, przyczajonych w lesie,  
Zkąd wpadną na naród nasz, jako wichler,  
Przynosząc zniszczenie, wytępienie, krew?

Czy przylatujecie z mandatem powierzonym wam  
[wysoko,  
Z upomnieniem, że dzikie niebiosą spuszcza  
[na nas  
Burzę, huragan, zarazę śmiertelną,  
Lament, głód, lub śmierć na wybrzeżu jeziora?

Czy przyleciałyście ze słowem od Pana Życia,  
Włokąc za sobą wesołą nowinę?  
Ależ dlaczego, o ptaki wróżbity,  
Oglądacie się i trwożliwie obracacie głowy?

(Dalszy ciąg nastąpi)

1) W cennych dziełach ojca Smeta „O ceremoniach Indian” i Catlinka „Wpóśród dzikich”, znajdujemy kilka opisów podobnych tańców.

2) Patrz: „Dawne podania indyjskie”, p. Schoolcrafta.



## NOWINY PARYZKIE.

Ogłoszenia literackie. — *Wiktor Hugo i jego czasy*, przez p. Babou'a, z ilustracjami. — *Powiatki p. de Besenval'a*, przedruk z XVIII wieku. — Zapomniany autor, jego skolligacenie polskie. Nowy dziennik francuzki pod redakcją Polaka. — P. Wołowski i jego *Echo de France*. — Nowa powieść pofrancuzku P. Charles Edmonda (Chojecki). — Jeszcze Polak w literaturze cudzoziemskiej. — Własnoręczny zyciorys przez Alf. Daudet'a. — Wieczory literackie dyplomatyczne p. Julii Lamber (Adam); jej poselstwo i wyjazd do Petersburga. — Dziwne życie i smutna śmierć w Paryżu barona Krüdenera. — Ostatni tom dzieła *Chryścjanizm i jego początki* Ernesta Renan'a: Marek Aureliusz.

Paryż, w Listopadzie 1881 r.

Ogół czytający, prostaczekowie literatury, to, co się publicznością nazywa, czytając na czwartej lub trzeciej stronie wszystkich dzienników, łokciowemi literami wypisane, ogłoszenie o nowej książce pod tytułem?... powiada sobie w duchu: to dopiero musi być dzieło, kiedy tak jednogłośnie wszyscy jej sprawiedliwość oddają — wszyscy — bez wyjątku tej lub owej opinii!... Tymczasem ta trzecia lub czwarta stronica dzienników, to karczma zajezdza, najęta na ten cel, przez dyrekcją ogłoszeń i afiszów, która się tam rozporządza jak we własnym domu. Nie chodzi tu wcale o to: czy książka dobrze czy źle napisana? — czy dzieło pożyteczne czy szkodliwe? czy rzecz bezbożna, czy święta; ale o to: ile za ogłoszenie zapłacił wydawca? — bo autor tu wcale nie wychodzi na scenę — kosztowałoby go to zadrogo. Jestto przemyśl nowożytny; są dzienniki, dla których te ogłoszenia i to wypuszczanie w arendę tej lub owej strony stanowi najczystszy a bardzo znaczny dochód.

Proszę teraz wierzyć tym ogłoszeniom, i kupować książki polecane w ten sposób! A przemyśl literacki, to dziś ogromna gałąź, z której tyłu wydawców postawiło pałace i wille, gałąź też na której od czasu do czasu zawisnie jaki autor nieborak...

Weźmy jedno z tych olbrzymich ogłoszeń. Niezmiernej wielkości ozdobnemi literami czytamy następujące słowa: *Wiktor Hugo i jego czasy*, drobnitko u spodu: „przez Alfreda Babou'a“. — Dzieło to jednego z mamelaków wielkiego poety, natchnione i napisane pod wrażeniem uwielbienia bez granic, ma przecież tę zaletę, że w niem żaden szczegół z życia Hugona opuszczony nie został. Od urodzenia, w owym to domku w Besançon, aż do tego domku przy ulicy Eylau w Paryżu, gdzie dziś mieszka Hugo, P. Babou, krok w krok za nim dąży. Przyjaciele, rodzina mistrza, każdy ma swoją odrębną kartkę: tak, że to jest bezzaprzeczenia najzupełniejszy zyciorys Wiktora Hugo, jaki dotąd napisano. Dodać należy jeszcze, że to jest wydanie ilustrowane, ozdobione przeszło setciną nowych i poraż pierwszy odbitych rysunków, pomiędzy którymi znajduje się wielka liczba dzieł znajomych mistrzów — wydanie popularne, nie drogie, dostępne dla wszystkich. Polecam je uważnie tych oględnych na wszystko reporterów, którzy mają przygotowane naprzód w swych tekach nekrologi wielkich mężów. Wszak wszystko się zdarza na świecie! — jak mawiał dowcipny Talleyrand, — a dobrze jest mieć w pogotowiu wyborny artykuł, który w danym wypadku znajdzie swe wyborne pomieszczenie.

W tym nawale nowych i najnowszych książek dobrze jest czasem spotkać się ze wspomnieniem przeszłości; jestto jakby przechodni akkord harmonii, który prowadzi myśl naszą na większe, rozleglejsze pole — wydanie jednego z tych zapomnianych współbiedników literatury przeszłego wieku ma jakby swój smak osobny, pieprzny i pobudzający ruchliwość myśli. Takim wydaniem przysłużył się tu literaturze p. Uzanne. Jego odgrzebany powieściopisarz z XVIII wieku, — to prawdziwa niespodzianka.

*Powiatki barona de Besenvala* (Les Contes du Baron de Besenval) poprzedzone przedmową wydawcy, zasługują na uwagę. Besenval jako powieściopisarz był wcale nieznan, a przynajmniej

zupełnie zapomniany we Francji; wydawca, pan Uzanne, ma więc podwójną zasługę: daje poznać jednego z lepszych pisarzy literatury nadobnej ostatniego stulecia, i wydiera niepamięci imię wielkiej wartości literackiej — *Nihil in tenebris*. Wszak to jest godło naszego wieku — który może poprzedza głębokie zaćmienie ducha ludzkiego.

W tym tomie powiastek pisanych z werwą, z humorem i z uczuciem wielkiego i delikatnego smaku, na szczególną uwagę zasługuje powieść: *Splin* (Le Spleen), pewien rodzaj jakby autobiografii. Jestto prawdziwe pieścidełko, doskonały i moralny obraz osmnastego wieku we Francji, jakby arcydzieło na małej skali. Wartość tej powiastki uważam za odpowiednią najlepszym tego rodzaju utworom. Prawda w opisach, siła w opowiadaniu — dają jej pierwsze miejsce w tej literaturze XVIII wieku, w której wykwintność formy i czystość języka uważały się za pierwszy obowiązek pisarza. Dziś przymiot ten staje się codzien-to rzadszym, i dlatego właśnie nowelle p. Besenvala zasługują na większą uwagę. Jest jeszcze inny powód, który mi wkłada obowiązek wskazać tę książkę czytelnikom naszym. Autor jej, ten p. Besenval, należy trochę do Polski. W *Pamiętnikach króla Stanisława Augusta* pod rokiem 1753, tam gdzie mówi o swojej podróży do Paryża, znajdujemy wzmiankę o osobach, którym był polecony przez rodziców: w ich liczbie wymienia panią de Besenval, posiadającą wielkie stosunki u dworu, a bliską krewną swej matki — jak wiadomo Czartoryską z domu. Czy ten pan p. Besenval, autor pięknych nowelli, jest mężem czy synem wspomnianej wyżej pani, w tej chwili nie wiem, jak niewiadomy mi jest również stopień jej pokrewieństwa z Czartoryskimi; ale dowiem się, sprawdzę i w jednym z przyszłych mych listów nie zaniedbam powiedzieć.

Skoro mówimy o polskości mieszanej do obcej literatury, nie można tu pominąć wzmianki o dzienniku, który stara się wywalczyć dla siebie stanowisko na bruku paryzkim. Bardzo to rzecz ślizka, powie niejeden z tych szczególnie, którzy wypróbowali osobiście oile ten bruk jest ciężki na nasze nogi słowiańskie... Ale cóż? *audax Sapientis genus!* Naprawdę, niema w tym dzienniku nic polskiego, oprócz nazwiska głównego redaktora; ale czasem i tego dosyć, aby niezapomnieć i dać wzmiankę na naszych ulotnych kartkach.

Dziennik, o którym mówię, zostaje pod redakcją p. A. L. Wołowskiego. Wczoraj się jeszcze nazywał: *Renseignment Parisien*, — dziś ma tytuł *L'Echo de France*. Ani jeden, ani drugi z tych tytułów nie zdaje mi się być dobrze wybranym. Mówiąc czysto pofrancuzku, *Renseignment*, wyraz ten nie może się stosować właściwie do dziennika, bo jest zaogólny co do samej rzeczy, a oznacza właściwie bieżące i podrzędne wiadomości; każdy dziennik może mieć osobny wydział dla tego rodzaju informacji. Nie jest to przecież jego cel główny: dobrze więc postąpiła sobie redakcja, zmieniając tytuł; ale wybór nowego nie wydaje mi się szczęśliwszym. W Paryżu wydawca dziennik, mający tytuł *L'Echo de France*, ma to znaczenie takie, jak gdyby dawane w ten sposób wiadomości pochodziły z prowincyi — z Lugdunu, Marsylii, Bordeaux. Rozumie się tytuł podobny dziennika, wydawanego pofrancuzku, w Wiedniu, w Berlinie i t. d., ale nie w Paryżu.

Ale mniejsza o tytuł: zobaczymy treść i skład pisma. Uderza zaraz ten fakt, iż dziennik, o którym mówimy, niema żadnej wyłącznej barwy. Jest to zapewne programat założenia; ale zdaje się że w tem niedobrze zrozumiano miejscowy obyczaj. Tutaj, wyjąwszy *Figaro*, który ma specjalność eklektyczną, dla wiadomych dobrze każdemu przyczyn, wszystkie inne dzienniki, nawet niepolityczne, mają jakąś wyłączną cechę i barwę, i to się dobrze rozumie, bo tu nikt nie czyta dziennika, dlatego, że jest dobrze albo nawet doskonale redagowany, ale dlatego, że jest odgłosem tego lub innego stronnictwa, że się stosuje do jego własnych przekonań, i że nie idzie wspak dążeniom i chęciom czytelnika; dlatego jeszcze szczególnie, że jest organem tej lub owej znakomitości, wydatnej, kierującej i mającej wpływy. „Neutralność“ więc tutaj znajdzie z trudnością dosyć czytelników, aby opłacić koszta, które są ogro-

me. Koszt wydawniczy dziennika wielkiego formatu, jak *Echo*, wynosi miesięcznie *minimum* 15,000 franków. Potrzebuje to więc kapitału 200,000 franków rocznie. Na pokrycie tego potrzeba mieć zapewnioną prenumeratę od 8 do 10,000 — nie licząc ogromnej sprzedaży numerami. Ale tu w Paryżu któreż to są dzienniki mające tego rodzaju odbyć? Nie licząc owego *Figara*, który jest zawsze rzeczą wyjątkową, jak mówiłem, pod każdym względem, są to, jak dziś, *Temps*, *La République Française*, *Debat*, *Le Siècle*, *La France*, a po nich ważniejsze dzienniki literackie.

Powiadają, że dyrekcya liczy na ilość i ważność informacji zagranicznych. Boję się, aby to nie było zawodnem. Potrzeba znać Francuzów: oni tak dbają o to, co się dzieje poza granicą, jak pies o piątą nogę, gdyby to popłacało jak gdzieindziej, dawno już ta część informacji byłaby opracowywaną i zapełnianą tak dobrze, jak tylko można żądać. Niema prawie tej rubryki — dlaczego? bo to nie jest potrzebą wynikającą z usposobienia czytelników tutejszych, z których każdy swego tylko pilnuje, i kwita...

To co tu powiadam, pokazuje stronę materialnych trudności dla dziennika; lecz jeżeli czynna i inteligentna dyrekcya z walczy te wszystkie trudności, jeśli, mając zapewniony kapitał w inny a nie prenumeracyjny, sposób, wyjdzie zwycięzko z pierwszych, ciężkich pieluszek, wówczas będziemy mogli z przyjemnością powiedzieć, że i na tem, tak trudnem, polu Polak potrafił dokazać swego... Powiadają, że kapitału zakładowego dostarczył jeden z bankierów szwajcarskich, — być może. Ale ponieważ oprócz reklamy dla sera szwajcarskiego, nie widzę, jaki interes mógłby spowodować Helweta do tak kosztownej fundacyi i próby, wolę wierzyć w to, co powiadają świadoms, że to jest organ młodego mołdawskiego królestwa, a ów bankier ze Szwajcaryi jest tu pośrednim kanałem, przez który wpływają zadunajskie lepty.

Jakkolwiek bądź, przedsięwzięcie to, im jest trudniejsze, tem więcej przynosi chwały człowiekowi przedsiębiorczemu, czynnemu i odważnemu, który go się podjął, i jak dotąd, prowadzi porządnie. Nie żałujmy p. Wołowskiemu naszej zachęty i naszego poparcia; w nowym jego dzienniku czasem znajdzie się też rubryka i dla nas: zawsze to jest lepiej i szlachetniej niż z założonemi rękoma patrzeć na to, co robią inni, i kamieniem rzucać z za węgla! Nie znam osobiście dyrektora *Echa*, nie mam żadnych stosunków osobistych z redakcją tego dziennika; ale, powiedziawszy w początku, co mi się zdaje być sprawiedliwem we względzie praktycznego powodzenia w Paryżu, politycznego, ważnego organu, w końcu dodać musiałem i to, co przemawia za nim, szczególnie wobec nas: inaczej byłbym niesprawiedliwym i stronnym.

Jeszcze jedno polskie ziarno na cudzą ziemię rzucone. *Sic vos non vobis*. Ale podnieśmy i to, może ktoś pilniej badając znajdzie i w tej książce ślady polskiego ducha! Kilka słów tylko pozwólcie mi powiedzieć o nowej książce Edmonda Chojeckiego, pod tytułem *Harald*. Jestto powieść na tle domowego życia Duńczyków, napisana pofrancuzku, a zatem, jakby się zdawało, zupełnie nam obca, — „*Harald* par Charles Edmond“. Zdaje się, że tu niema nic a nic, coby nas zainteresować mogło i obudzić uwagę czytelnika polskiego. Owoż tak nie jest, ten p. Charles Edmond, jakkolwiek wciąż na plecy płaszcz francuzki i na twarz kładzie francuzką maskę, widać zpod niej polskie, zawiesziste wąsy, i po wczytaniu się w kartki romansu, słyhać jakby dalekie echa gwaru warszawskiego. A co zaraz pokazuje, iż nie zapomniał o nas — to to, iż nie zapomniał co nas i co jego boli. Jestto Dania, którą nam opisuje autor w tej powieści. Tak Dania — ale Dania po Dypelskiej klęsce, gdzie nasi starzy przyjaciele Prusacy i Austriacy znaną odegrali rolę.

(Dokończenie nastąpi)



## Z DZIAŁU PRZYRODY.

Niezmierny, a zawsze w nowe wynalazki obfity angielski badacz natury Darwin, wydał w ostatnich czasach dwa ważne dzieła, które właściwie żadnej wspólności nie mają z jego teorią o pochodzeniu człowieka, ale które zwróciły na siebie uwagę całego świata uczonego. Pierwsze z tych dzieł traktuje o ruchach roślin, a dokładny jego tytuł jest następujący: *The power of movements in plants, by Charles Darwin assisted by Francis Darwin*. Jakkolwiek ważne były poprzedzające dzieła Darwina, a mianowicie o pnących się roślinach, o sposobie zapładniania orchideów, o roślinach owadożernych; to jednak dzieło ostatnio wymienione przewyższa wszystkie oryginalnością i ważnością spostrzeganych, a nieznanych prawie dotychczas, zjawisk natury.

Jak tytuł sam powiada, dzieło traktuje o ruchach roślin. Dawniej przypuszczano powszechnie, iż rośliny w przeciwstawieniu ze zwierzętami są zupełnie nieruchome, a nawet tę ich własność uważano jako główną cechę odróżniającą świat roślinny od świata zwierzęcego. Przekonano się wprawdzie już dawno o tem, iż rośliny także pewne ruchy odbywają, ale ruchy te miały być tak bardzo mało znaczne, iż roślinę w porównaniu ze zwierzęciem można było uważać jako zupełnie nieruchomą. Darwin stara się rzecz tę zupełnie inaczej przedstawić i dowodzi, iż ruchy roślin pod pewnym względem są energiczniejsze od ruchów spostrzeganych u zwierząt, bo kiedy u zwierzęcia prawie tylko jedno serce wykonywa nigdy niustające ruchy, to wszystkie młode części roślin (ale oprócz tego i inne, o czem później) wykonywają bezustannie ruchy krażenia, nazwane *cyrkumnutacją*. Ale nie tylko liście, łodygi i wogóle części rośliny nad ziemią będące, w ciągłym są ruchu, bo i korzeń a mianowicie sam koniec jego, ustawicznie wykonywa takie ruchy. Ruchy te są, według Darwina, koniecznymi dla istnienia rośliny, tak np. owe ruchy korzenia sprawiają, iż uchyla się on od wszelkich spotykanych na drodze przeszkód, odszukuje ziemię pulchną, żyzną, zawierającą wiele części nieodzownych do żywienia roślin, zwraca się do miejsc wilgotną, przesiąkniętą i tam dalej.

Z tych słów kilku już widzimy, jak bardzo jest zajmującym przedmiot nowego dzieła Darwina, i jak nowy, oryginalny jego pogląd. Według niego wszystkie swobodne końce roślin odbywają ruchy, zakreślając koło lub elipsę, a ponieważ każdy taki koniec rośliny, więc ruch ten staje się niejako spiralnym. Ten ruch spiralny — *cyrkumnutacja* — jest podstawą wszystkich innych ruchów, jakie roślina wykonywa, mianowicie ruchu zwracającego rośliny ku światłu, co się *heliotropizmem* zowie, ruchu ulegającego sile ciężkości — *geotropizmem* — i nareszcie zwracania się korzeni do miejsc wilgotnych — *hydrotropizmem*. W roślinach pnących się, oddawna już ruchy takie są znane, a Sachs dowiódł, iż polegają one na tem, iż jedna strona takiej części roślinnej nadmiernie rośnie, przez co z tej strony staje się wypuklejszą i ztąd bierze początek opisany ruch kołowy lub spiralny. Otóż Darwin twierdzi, iż wszystkie bezwyjątkowo rośliny (nie tylko pnące się) ruch taki wykonywają.

Heliotropizm, to jest zwracanie się ku światłu tych części roślin, które nad ziemią rosną, jest zjawiskiem znanem od bardzo dawna; o jego istnieniu może się każdy na pierwszylepszej roślinie doniczkowej przekonać. Później dopiero poznano tak zwany *negatywny heliotropizm*, to jest odwracanie się niektórych roślin od światła, który

też stanowi stosunkowo rzadkie zjawisko i widzieć się daje najczęściej na korzeniach, mianowicie na tak zwanych powietrznych korzeniach, które jakiś czas nad ziemią pozostają, nim się w nią zapuszczają.

Heliotropizm czyli czułość na światło, objawia się w różnych częściach roślin różnie. Najczulsze na światło są łodygi, które nadzwyczaj szybko zwracają się w jednym lub drugim kierunku. Nierównomierne chwilowe rośnięcie z jednej i z drugiej strony łodygi, albo pewne napęcznienie komórek, z jednej strony jest przyczyną tego zjawiska. Liście już w mniejszym stopniu są heliotropowe, ale jednakże widzimy, jak pod wpływem światła w tę lub ową stronę się zwracają, choć daleko wolniej niż łodygi. Najmniej heliotropowe są kwiaty. Zjawisko heliotropizmu najlepiej można obserwować na roślinach polnych, które u zrębu lasu rosną. Łodygi, liście i kwiaty odwracają się od lasu, który cień rzuca i zwracają się ku polu. Ciekawe widzimy wtedy zjawisko, jeżeli zrąb taki obficie kwiatami jest zarośnięty. Patrząc od strony lasu na te rośliny, widzimy odwrotne strony liści i kwiatów, a gdy im się przypatrujemy od strony pola, rozciąga nam się piękny widok różnokolorowych kwiatów.

Różnokolorowe promienie światła rozmaicie na własność heliotropową roślin oddziałują. Światło czerwone i fioletowe najsilniej działa, a światło żółte najsłabiej. Ciekawy jest wpływ światła przerywanego. Jeżeli roślinę jaką poddamy działaniu światła na jeden punkt skierowanego i rośliny zacznie się w tym kierunku zwracać, to chociaż przeniesiemy ją w miejsce zupełnie ciemne, będzie ona jakiś czas w nadanym jej przez światło kierunku rosła. Jeżeli puścimy promień światła na jedną część rośliny np. łodygi, to światło to działa nie tylko na tę część, ale i na sąsiednie, wcale nieoświetlone i wywołuje w nich odpowiednie ruchy. Czułość heliotropowa wzrasta w miarę powiększenia natężenia światła.

Zestawiając doświadczenia swoje nad światłem, Darwin twierdzi, iż światło działa na heliotropowe części roślin, mniejszej tak samo, jak na systemat nerwowy zwierząt. Światło działa zatem drażniaco na rośliny, które pod względem oświetlenia okazują się bardzo czułymi na wszystkie kontrasty.

Powiedziano już wyżej, że Darwin uważa ruchy heliotropowe roślin, jako pewną tylko modyfikację tak zwanych cyrkumnutacji — ruchów spiralnych, otóż wszystkie te ruchy (nie wyłączając i heliotropowych) ustają, jeżeli tylko koniec łodygi utniemy. Roślina przestaje w tym kierunku rosnać, zaczem idzie ustanie wszelkich jej ruchów. Co więcej, ruchy heliotropowe i geotropowe tem są energiczniejsze, im siła rośnięcia rośliny jest większą.

W początkach bieżącego wieku, genialny fizjolog roślinny Knight, dowiódł, że siła ciężkości wywiera wpływ na kierunek rośnięcia roślin. Frank nazwał tę własność roślin *geotropizmem*. Korzeń rosnący pionowo ku dołowi, podlega pozytywnemu, a łodyga rosnąca ku górze negatywnemu geotropizmowi. Jeżeli roślinę jaką ułożymy poziomo, to po jakimś przeciągu czasu, korzeń jej się zegnije i ku dołowi rosnać będzie, a łodyga ku górze się skieruje. Ta siła geotropowa najwięcej spostrzegać się daje na głównym pniu korzenia, daleko mniej na bocznych jego odnogach; na odnogach drugorzędnych nieraz wcale siły geotropowej nie widzimy. Jeżeli główny pień korzenia obetniemy, to wtedy własność geotropowa bocznych odnog się wzrasta. Powtarza się tu to, cośmy o własności heliotropowej mówili: im energia rośnięcia w jakiej części rośliny jest większą, tem siła geotropowa znaczniejsza. Darwin wykonywał nadzwyczaj

wiele pouczających doświadczeń nad tą własnością geotropową roślin, a ta część jego dzieła najwięcej przedstawia zajęcia.

Korzeń rośnie i końcem swoim rozpięra ziemię, ale siła jego nie jest wielka. Darwin umieszczał pod korzeniem zupełnie horyzontalnie, najcieńszą cynfolię, jaką mógł otrzymać (mając grubości  $\frac{12}{100,000}$  cala); otóż korzeń, doszedłszy do tej cynfoli, skrzywił się, lecz nie zostawił najmniejszego śladu na niej.

Darwin stara się dowiedzieć, że koniec każdego korzenia jest jakby jakimś czuciem obdarzony, a w ustawicznych ruchach swoich odszukuje niejako okolic ziemi, w których najbardziej pożywne dla rośliny cząstki się znajdują. Dla przekonania się o tej czułości korzeni wykonywał on z rozmaitemi roślinami takie doświadczenia, iż przyklepał szellakiem do końca korzenia małe kawałki karty wizytowej albo papieru do pocierania zapalek i obserwował ruchy takich korzeni. Otóż pokazało się, iż przyklepienie takiego papierka działało w przeciwnym kierunku z siłą ciężkości i koniec korzenia wyginał się ku górze, jakgdyby chciał uniknąć drażnienia spowodowanego tym papierkiem.

Sachs dowiódł jeszcze w 1872 roku, że korzenie rosnąc zwracają się ku wilgotnym miejscom, a Darwin doświadczeniami swojemi najzupełniej stwierdził ten fakt. Wilgoć działa zatem na korzenie wprost przeciwnie niż kawałki przyklepionego szellakiem papieru. Dla dowiedzenia, iż odszukiwanie wilgoci i zwracanie się ku niej odbywa się za pośrednictwem końca korzenia, Darwin pokrywał te końce tłuszczem, albo obcinał brzytwą, albo kauteryzował je żrącym ciałem i przekonywał się, iż tak traktowane korzenie traciły własność wyginania się ku wilgoci. Korzeń przyzwyczajony do drażnienia, gdyż po pewnym przeciągu czasu rośnie napowrót, tak jakgdyby drażnienia żadnego nie było. Długość owego końca czułego wynosi 1 do  $1\frac{1}{2}$  milimetra.

Jeżeli korzeniowi jakiej rośliny nadamy kierunek poziomy, i wtedy przyklepimy do spodniej strony końca kawałek papieru, to geotropizm przewycięży to drażnienie i korzeń prawie pod kątem prostym się wygina, poddając się sile ciężkości i rośnie ku dołowi. Jeżeli koniec korzenia, wykonywając opisane ruchy, natrafi na ziemię spulchnioną, lub na jamę przez robaka ziemnego zrobioną, to najchętniej przybiera kierunek tej jamy. Taki koniec korzenia dałby się doskonale do kreta porównać, który ruchami swojemi odszukuje miejsca spulchnione, wilgotne etc., gdzie najłatwiej mu się wryć i gdzie najłatwiej znaleźć może pożywienie dla siebie.

(Dokończenie nastąpi).

### OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w przyszłym roku wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją i na dotychczasowych warunkach.

Szanownym prenumeratom z prowincji przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się dalszy ciąg powieści pod tyt.: **Marek**; oraz dalszy ciąg powieści pod tyt.: **Warto się namyśleć**.

Głoszenia do **BLUSZCZU** przyjmuje wyłącznie kantor agenturowy **BERNARDA BERSOHN** w Warszawie przy ulicy Nowy-Świat Nr 67.

**TREŚĆ.** Skarb żywota, (poezya), przez M. I. — Przeklęty dworek, nowella, (dalszy ciąg), przez Bolesławicza. — Korrespondencya zagraniczna, Wiedeń i Peszt. — Obowiązek, ze Smiles'a, (dalszy ciąg), przez M. I. — Poezya Indyan amerykańskich, przez Sygurda Wiśniowskiego — Nowiny paryżkie. — Z działu przyrody, przez Dra Gustawa Fritsche.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 24 Ноябра 1881 года.